

**OŚLICA
BALAAMA**

**MAŁGORZATA
BORKOWSKA OSB**

**OŚLICA
BALAAMA**

**APEL
DO DUCHOWNYCH
PANÓW**



TYNIEC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki:

Jacek Zelek

Na okładce:

„Balaam i anioł”, *Kronika Norymberska* (1493 r.)

Korekta:

Agnieszka Nieć

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów

L.dz. 57/2018, Tyniec, dnia 02.03.2018

† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze – Kraków 2018

ISBN 978-83-7354-770-4

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków

tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95

e-mail: wydawnictwo@tyniec.com.pl

zamowienia@tyniec.com.pl

www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:

Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

druk@tyniec.com.pl

SPIS TREŚCI

Zakonnica w oczach kaznodziei	11
Nieznajomość istoty życia zakonnego	19
Dziwactwa liturgiczne	29
Spójnik i dogmat	43
Antyintelektualizm	49
Nauki błędne	57
O „wtajemniczeniu” maryjnym	61
O wierze w czary	67
O rozwoju duchowym	71
O dzisiejszym świecie	77
O konieczności czynienia cudów	81
O roli uczucia w życiu wewnętrznym	85
Prywatne fascynacje	87
Stosunek do chrześcijan innych wyznań	91

Przez kilkanaście wieków zakonnice słu-
chały kazań, konferencji, rekolekcji, pouczeń,
a zawsze w pokornym milczeniu, jak te nie-
me bydłatka: cokolwiek im mówiono, umiały
tylko potakiwać. Czasem się któraś wyłama-
ła, ale bardzo rzadko! Założenie ze strony ka-
znodziejów było niewątpliwie takie, że zawsze,
w każdej sprawie i w każdych okolicznościach,
oni wiedzą lepiej; zakonnice zaś nauczyły się
to akceptować, najpierw dlatego, że potrzebu-
ją celebransa i muszą przyjmować jego warun-
ki; a potem już z tradycji i z przyzwyczajenia.
To była forma pokory, której od nich oczekiwa-
no. Skutkiem tego nieraz osoby o półwiecznym
doświadczeniu na drogach modlitwy naboż-
nie słuchały (i słuchają) głupstw prawionych
przez chłopaczków, którzy liznąwszy w semi-
narium coś niecoś z Tanquereya i zapomniaw-
szy po zdanym egzaminie nawet i tego, przeko-
nani byli, że mają o czym słuchaczki pouczać

i że te słuchaczki jeszcze tego dotąd nigdy nie słyszały. Znałam zakonnicę, której siostrzeniec, podówczas kleryk na pierwszym roku, przysłał w prezencie imieninowym nowo wydaną książkę o modlitwie, z dedykacją: „Kochanej cioci... aby ta piękna książka pomogła zrozumieć wartość modlitwy”. Dosłownie. Ciocia była już ćwierć wieku w klasztorze kontemplacyjnym, ale widocznie dotąd nie wiedziała, po co tam siedzi; na szczęście teraz już rozumie. A kiedy młody salezjanin oświadcza nam z kazalnicy z promiennym uśmiechem, że do rekolekcji dla zakonnicy to on się nie przygotowuje, bo wiadomo, że im wszystko dobre i wszystko przyjmą – trudno to nazwać inaczej niż bezmyślną pogardą; ale w jakimś sensie same jesteśmy sobie winne, bo milczymy.

Oczywiście *krasnoludek różny bywa*; kaznodzieja też. Różny jest stopień pogardy, od zera do dużych cyfr na skali; różny stopień życzliwości. O ile zdołałam zauważyć, te podziały nie pokrywają się jednak ani z podziałami na pokolenia, ani z podziałami na przynależność diecezjalną lub zakonną. Po prostu ludzie są różni, i jedni bardziej ulegają przekazywanemu przez

starszych kapłanów przykładowi paternalistycznego traktowania zakonnic z góry, inni mniej. Czasem pogarda i życzliwość współistnieją bardzo zabawnie. Kiedy byłam w nowicjacie, istniała jeszcze instytucja tzw. spowiedników kwartalnych, więc cztery razy do roku zjawiał się u nas pewien kanonik. Był nam bardzo życzliwy, oprócz słuchania spowiedzi głosił konferencje i starał się nas pocieszać w tym naszym poniżającym sposobie życia. Tak właśnie mówił zawsze, *poniżający sposób życia*; i po jakimś czasie zorientowałam się ze zdumieniem, że chodzi mu po prostu o to, że same sobie musimy buty czyścić i kartofle obierać. Ten człowiek, jak mnóstwo księży tamtego pokolenia, miał zakodowaną w głowie przepaść między „białymi” a „czarnymi” zajęciami i skoro sam by nigdy nie tknął żadnej domowej pracy, żeby nią swojej godności kapłańskiej nie skalać – litował się szczerze, że my musimy. No i dobrze; tak mówił przez ileś lat, aż kiedy w końcu przestałam już być onieśmieloną nowicjuską, a stałam się znaną siekierą, powiedziałam mu, że w moim rozumieniu *poniżające zajęcie* to by było pod latarnią. I odtąd już tak nie mówił, nawet jeśli nadal tak myślał;

a więc, jak się okazuje, można czasem coś wytłumaczyć, a choćby coś osiągnąć.

Ale my, przynajmniej najczęściej, milczymy. I pewno, że trudno byłoby reagować za każdym razem, kiedy jest na co! Niemniej teraz chciałabym (po ponad już półwiecznym doświadczeniu odbioru kazań) raz wreszcie odezwać się i przedstawić możliwie systematycznie nasz, a częściowo zapewne swój własny, punkt widzenia. Rozumiem doskonale, że mój głos może u wielu PT. duchownych panów wywołać reakcję dokładnie taką samą, jak reakcja Balaama na odezwanie się oślicy. Od zdumienia, przez oburzenie, aż do użycia jakiegoś rodzaju kija włącznie! Ale inni może byliby wdzięczni za uświadomienie im, że jakiś punkt widzenia różny od ich własnego w ogóle istnieje: nawet jeśli to niezbyt miłe dowiedzieć się, że ktoś przez całe lata patrzył na nas, i nawet coś o nas myślał... i jeszcze w dodatku nie zawsze bezkrytycznie.

Ten tekst leżał przez kilkanaście lat w komputerze, zanim podjęłam decyzję o wydaniu. Oczywiście ci księża, którzy nie znajdą tu swojego portretu, powinni wiedzieć, jak bardzo im za to jesteśmy wdzięczne...

ZAKONNICA W OCZACH KAZNODZIEI

Kiedy przez długie lata oprowadzałam wycieczki po naszym kościele i skarbcu, księżcy przychodzących w cywilu rozpoznawałyśmy bezbłędnie po tym, że zadawali wprawdzie pytania, ale odpowiedzi nie słuchali; albo zaczęli od razu mówić o czymś innym, albo odpowiadali sobie głośno sami. Po prostu nie mieściło im się w głowie, żeby zakonnica mogła coś takiego wiedzieć, czego oni nie wiedzą. Natomiast zakładali bez zmrużenia oka, że wiedzy, której oni nam udzielają, znikąd dotąd mieć nie mogliśmy:

Nie mogliśmy jej przynieść z domu, bo chociaż każda z nas zjawiała się tu przecież jako dorosła osoba i członek jakiejś rodziny, najwyraźniej wciąż wierzymy w bociana i nie wiemy, jakim złem jest aborcja. Pamiętam przynajmniej kilku kaznodziejów, którzy uważali za swój obowiązek wyjaśnić nam (oczywiście taktownie

i z wielu długimi omówieniami), skąd się biorą dzieci; a co do aborcji, to rzadko się zdarza taki, który by o niej przynajmniej nie wspomniał. To może być oczywiście skutek tego, że księża są przyzwyczajeni mówić wciąż o tym w parafiach; ale w takim razie tym bardziej widać, że mając mówić do zakonnic, rzeczywiście nie tracą czasu na przygotowanie się, a nawet na zastanowienie się, jakie tematy byłyby słuchaczkom potrzebne. Oczywiście gdyby o tym zaczęli myśleć, niejeden musiałby dojść do wniosku, że po prostu nie wie, czego zakonnicom naprawdę potrzeba. Może by wtedy milczał? Nie byłoby najgorzej.

[– Ale w takim razie, oślisko, zamiast tylko krytykować i obśmiewać, powiedz, o czym trzeba mówić?

– O Chrystusie. To jest zawsze na temat i tego nigdy nie dość. Tylko że o tym właśnie, Balaamie, tobie mówić szczególnie trudno. Pamiętam, z jakim zachwytem i zdumieniem słuchałyśmy pewnego palotyna, który nam powiedział całe rekolekcje o Bogu, nie wspominając ani razu o aborcji!]

Dalej, *nie mogłyśmy tej wiedzy, której nam kaznodzieja udziela, przynieść ze szkoły*, do której wi- dać po prostu nie chodziłyśmy. Kiedyś pewien kapłan odprawiał u nas przez dwa dni i w obu kazaniach mozolnie i czasochłannie, bez żad- nego związku z czytaniem mszalnymi, opowia- dał nam treść dwóch nowel Sienkiewicza: *La- tarnika* i *Janka Muzykanta*, twierdząc zresztą, że to napisał Słowacki. Na pożegnanie wyjaśnił, że chciał podzielić się z nami arcydziełami li- teratury polskiej. Najwyraźniej uważał, że my ich nie znamy; że nie byłyśmy nawet w szko- le powszechnej, gdzie to była lektura obowiąz- kowa. No ostatecznie... mogłyśmy zapomnieć... A skoro już mowa o literaturze: słyszałam nie raz kaznodziejów pobożnych i słyszałam ka- znodziejów uczonych, ale przez wszystkie wieki życia swego zakonnego nie słyszałam kazno- dziei, który by potrafił zacytować jakikolwiek wiersz bez przekręcenia.

Kiedy chodzi o znajomość życia wewnętr- nego, *nie mogłyśmy jej ani wynieść z nowicjatu, ani nabyć przez doświadczenie i lekturę*. Niejeden mówca, zwłaszcza młody, przedstawia te spra- wy tak, jakby to on dopiero odkrył to wszystko:

„Teraz siostry rozumieją... Teraz już wiecie?”
Co szczególnie ciekawe, zakłada najwyraźniej, że także jako kaznodzieja jest pierwszym, który nam o tym mówi, że żaden jeszcze taki sam odkrywca dotąd przed nami nie stanął. Oj, stanął, i niejeden, i jeszcze niejeden stanie, i trzeba się tylko cieszyć, kiedy któryś podaje rzeczywiście zdrową naukę Kościoła bez przymieszek własnej fantazji. A nawet i w takim wypadku czasem warto byłoby powstrzymać potok wymowy. Niedawno odprawiał w naszej kaplicy przejezdny ksiądz, który ogromnie się przejął, kiedy się dowiedział, że tego dnia jest u nas adoracja. Z tego przejęcia powiedział półgodzinne kazanie, zachęcając nas do adorowania Najświętszego Sakramentu; i tym samym, ponieważ doba rozciągnąć się nie da, tę adorację o te pół godziny nam skrócił. Może myślał, że przynajmniej zyskałyśmy motywację?

Nawet od naszych własnych zwierzchników kościelnych lub zakonnych nie możemy nic wiedzieć, póki nam kaznodzieja nie powie. Historyjka ilustrująca tę zasadę jest długa, ale warta przytoczenia. Nasz kościół nie jest żadnym sanktuarium pielgrzymkowym; ale

w Roku Świątym, ogłoszonym przez Pawła VI, ktoś w diecezji chełmińskiej (do której należałyśmy wtedy) wpadł na pomysł, żeby połączyć miesięczny dzień skupienia przełożonych północnego rejonu diecezji z pielgrzymką jubileuszową, i zamiast w Gdyni, urządzić go u nas, mianując *ad hoc* Żarnowiec miejscem pielgrzymkowym. Ponieważ na każdy taki dzień skupienia wysyłano kaznodzieję, przysłano go i tutaj, zapowiadając mu tylko, żeby naukę powiedział taką, która by się przydała i tym biednym benedyktyнком, bo im tam na wsi nie ma kto konferencji głosić. Biedak, jak się zdaje, miał wielki kłopot, co by tu takiego wymyślić, żeby benedyktyнком smakowało; ale znalazł. No więc matki przełożone zebrały się na sali, kilkadziesiąt osób, a my tymczasem w kuchni przygotowywałyśmy obiad dla nich. Naraz leci ktoś z rozkazem: ręce myć, fartuchy zrzucić, konferencja jest także i dla nas, mamy jej słuchać! No dobrze. Wcisnęłyśmy się w kąty i słuchamy. Tylko... coś to jakby znajome? Ktoś już kiedyś tych słów, tych zdań użył? Mrugamy jedna na drugą: przecież to jest niedawne przemówienie papieża Pawła VI na uroczystości

konsekracji bazyliki na Monte Cassino! Słowo w słowo, od początku do końca. Kaznodzieja nic już nawet od siebie nie dodał, w przekonaniu, że lepiej nie wymyśli niż sam papież. Nie wspomniał tylko ani na początku, ani na końcu, skąd to wziął... Najwyraźniej więc sądził, że słyszemy to po raz pierwszy, że nie znamy tekstu papieskiego, odnoszącego się do naszego własnego zakonu, póki on go nam nie przeczyta. No bo tego, że ten tekst ja tu w Żarnowcu tłumaczyłam na polski, to już oczywiście nie mógł wiedzieć.

A ponieważ historia lubi się powtarzać, wiele lat później miało miejsce podobne zdarzenie. Kiedy Synod Biskupów miał zająć się życiem zakonnym, sekretariat Synodu rozesłał na cały świat punkty do dyskusji nad istotą życia zakonnego, w formie książeczki zatytułowanej *Lineamenta*. Procedura była taka, że najpierw miały się wypowiedzieć na piśmie poszczególne zakonnice, na podstawie ich wypowiedzi należało sporządzić odpowiedź domu, z tego z kolei – opracować odpowiedź zakonu, a w ostatniej instancji, po zebraniu odpowiedzi wszystkich zakonów w danym kraju, odpowiedź krajową,

tym razem już po francusku. Było z tym dużo roboty, potem odbył się synod, a wreszcie jakiś rok czy dwa później zjawił się u nas na wakacje pewien prałat, niegdyś zresztą pracownik Kurii rzymskiej, i z wielkim przejęciem zaczął z kazalnicy wymachiwać tą książeczką. „Popatrzcie, to się nazywa *Lineamenta*; tu o was napisano, biskupi o was radzili!” Zakładał, jak widać, że my ani o synodzie nic nie wiemy, ani o przygotowaniach nie wiedziałyśmy. (No bo tego, że to akurat ja, wezwana w tym celu przez Matkę Klaudię¹ do Warszawy, opracowałam odpowiedź krajową polskich zakonów klauzurowych, wiedzieć oczywiście nie mógł.)

Krótko mówiąc, zakonnica w przekonaniu szeregowego kaznodziei jest GŁUPIA. I to się samo przez się rozumie: gdyby głupia nie była, to by zakonnica nie została. A skoro została, to jej psi obowiązek ścierać pył z podłogi przed godnością kapłana, i do niczego innego potrzebna nie jest. Ten sam kapłan, który (obserwowałam to w niejednym wypadku) rozplęwał

¹ M. Klaudia Niklewicz, długoletnia przełożona warszawskich wizytek i przewodnicząca Konsulty polskich zakonów klauzurowych.

się w mokrą plamę przed każdą panią profesor – zakonnicę traktował jak niższy rodzaj służby. Nie wstydził się przed nimi ani wybuchów gniewu, ani wymagań co do standardu usługi (np. połysku butów) wydzwigniętych na poziom niemal niedosiężny. Tak samo, jak nie wstydziłby się tego przed psem i kanarkiem... Jest to częste zjawisko, że człowiek dzieli bliźnich na takich, na których opinii mu zależy, i takich, na których nie; otóż zakonnicę w oczach kleru diecezjalnego dawno już wylądowały w tej drugiej grupie i chociaż czasem robi się wyjątki (jeśli zakonnicę ma jakiś tytuł, np. hrabianki, profesora lub przełożonej), na ogół ta zasada trwa. Wypływa na pewno w jakiejś mierze z nieznamośći istoty życia zakonnego, tak powszechnej wśród księży diecezjalnych. Z próżnego i Salomon nie należy.